

Kronika tygodniowa.

Wyleźliśmy więc zupełnie z owego katastrofalnego miesiąca trzęsień ziemi, wchodząc natomiast z powrotem w czasy kanikularne, gdy już zaczęto się nie na żarty obawiać, iż niebiosa, które bardzo skąpo wogóle w tym roku obdarzają nas wilgocią, akurat teraz, gdy zbliżają się żniwa, otworzą upusty i dadzą nam dżdżu więcej, niż potrzeba.

Tak się przecież nie stało. Żniwa się rozpoczynają, pogoda zdaje się być na dłuższy czas pewna.

Ale czy to kogo zadowolni?... Bynajmniej!... Mieliśmy pogodę — wzdychano do deszczu, zaledwie przecież spadło kilkanaście kropli, ci sami, którzy tak go pożądali, zaczęli się oglądać na niebo, czy się też przeciera, czy nie, motywując swe troski żniwem i wycieczkami wakacyjnymi.

No i... wytarło się, pogoda jest, a tu znów inna gromada zaczyna tęsknić za deszczem, twierdząc, że bez niego nie udadzą się ziemniaki, które dziś już doszły do pięknej ceny sto pięćdziesiąt koron za sto kilo, jest więc nadzieja, że, gdzieś koło stycznia, będzie się je naprawdę sprzedawało na wagę złota, albo na karaty. Poruczenie sprzedaży aptekarzom i wydawanie ich tylko za receptą uważam za niepraktyczne, choć wiem, że panowie aptekarze bez wahania przyjąłby na się i ten trud, zapewniający bardzo piękne dochody.

Po inne lata wyglądał Kraków zupełnie inaczej o tym czasie. Kto tylko mógł, wyjeżdżał na świeże powietrze, w mieście zostawała tylko garstka słomianych wdowców i tych, którzy nie mieli pojechać gdzie, albo za co. A dziś?... Dziś zupełnie inaczej! Słomianych wdowców, być może ze względu na drożyznę i brak słomy, prawie zupełnie brak, mógłbyś ich policzyć na palcach, wojennych natomiast wdów i kandydatek na nie taka moc, iż słomiany wdowiec nie ma bynajmniej powodu do narzekania i do obawy konkurencji ze strony nielicznych towarzyszy niedoli. Ruch więc w mieście i poza miastem pomimo gorąca, dziennikarze są w siódmym niebie, nie potrzebując urządzać polowań kanikularnych na kaczki dziennikarskie, węże morskie i inne tym podobne sensacje, gdy się ma pod ręką tyle innego materiału, który, aż się prosi, by się mógł dostać na papier i przy jego pomocy wyjechać w świat szeroki.

Wystarczy powiedzieć, że nawet Rada miejska urzęduje i ani myśli o wakacyjnych wywczasach, czyli, że, innymi mówiąc słowy, wojna obecna zwykły porządek światowy przewróciła do góry nogami. I kronikarz siedzi w Krakowie, choć wybierał się na wojnę, ale bynajmniej nie zataja, dlaczego zrezygnował z projektu podróży. Zawsze to lepiej i wygodniej na swych własnych śmieciach, niż tulać się gdzieś po obczyźnie i nie mieć co do ust włożyć. Ogólne to zdanie tych, którzy wyjeżdżali z Krakowa, że u nas nie jest najlepiej, ale gdzieindziej jest stanowczo jeszcze gorzej.

Sklamalbym jednak, pisząc, że nigdzie nie wyjeżdżałem. Owszem! W owym katastrofalnym miesiącu, gdy naprężenie między mną a Weronisją doszło już do ostatecznych granic, postanowiłem wybrać się na kongres socjalistów do Sztokholmu. Ponieważ uczono mnie, że prosta droga jest najpewniejszą, wiedząc o tem z geografii, że Sztokholm leży na północy, obrałem takież kierunek, niestety, przekonałem się, że owa linia kolejowa dochodzi tylko do Kocmyrzowa i tam się urywa. Dalej trzeba było iść piechotą, a na to znów moje odnóża (ostatnia para!) nie pozwalają. Wróciłem więc z drogi, odwiedziwszy przy tej sposobności znajomych, w tamtej okolicy mieszkających. Na tem miejscu muszę stwierdzić, iż cnota staropolskiej gościnności w społeczeństwie zupełnie nie wygasła!

Gdy się znalazłem w domowym zaciszu, Weronisia zdziwiła się ogromnie, wiedząc, że wyjeżdżam na kilka tygodni i jestem pewny, że myśli, iż sfiugowałem ową podróż tylko w tym celu, by się przekonać, czy mnie nie zdradza. Nie wybijam jej tego z głowy, gdyż widzę, że to przeświadczenie ogromnie jej przypało do gustu i zaczyna nawet mieć już sama o sobie daleko lepsze, niż dotąd, wyobrażenia.

Ale czas już najwyższy, by przejść do porządku dziennego, raczej tygodniowego.

Na pierwszym miejscu znajdzie się naturalnie opera, jeśli tak ją nazwać się godzi. Powiedział pewien filozof, że „nie miała baba kłopotu, kupiła sobie prosię“, drugi przysłowie to zastosował do Rady miejskiej i opery i miał zupełną rację.

Wspominałem już kilkakrotnie na tem miejscu o krakowskiej operze, bez której jakoś żyliśmy i było nam dobrze, ściągając przez to nawet na swą głowę niewinną gromę, iż jestem zapleśniałym zacofańcem, który nie wie, lub nie chce wiedzieć, czego Wielkiemu Krakowowi potrzeba. Tak bowiem, jak lampa naftowa bez knota obejść się nie może, tak i Ateny polskie nie

powinny i nie mogą się obejść bez opery i to prowadzonej we własnym zarządzie gminnym. Ale jak owa lampa, choć ma knot, czasem kopci, tak też i opera może być źródłem różnych dyssonansów. I to właśnie się spełniło. Nie mówiąc już o owych dyssonansach w ścisłym tego słowa znaczeniu, które na scenie krakowskiej w obecnym sezonie prawie nie schodzą z porządku dziennego, mamy nadto ciągłą, prawdziwie kanikularną polemikę na szpaltach naszych pism codziennych, czy odpowiedziano celowi, czy też nie. Jak dotąd, głosy odzywają się przeważnie krytykując i to nawet dość ostro, że przypominę tylko słowa jednego z sprawozdawców o przedstawieniu „Opowieści Hoffmanna“: „Spotkaliśmy się wczoraj z nowym eksperymentem kierownictwa operowego, stwierdzającym aż nadto wymownie brak systemu, programu i przygotowania, oraz karygodne lekceważenie ze strony miasta publiczności, drogo opłacającej bilety wstępu“.

I trzeba tego było miastu?... Czy ma mało kłopotów innych, daleko ważniejszych, że musiało sobie „kupić operę“?...

Ba, ale na tem jeszcze nie koniec. To jest moralny sukces przedsięwzięcia, a jest jeszcze i materalny, w postaci deficytu, który przecież łatwo pokryć przez zaciągnięcie nowej pożyczki, gdyż Kraków ma kredyt.

Zaciągamy znowu kilkamilionową pożyczkę na inwestycje w miejskiej gazowni, elektrowni i wodociągach, powinno się więc znaleźć i kilkadziesiąt tysięcy na zatkanie „operowej“ dziury w budżecie miejskim, który przecież żył się już z deficytem do tego stopnia, że się bez niego obejść nie potrafi.

Wogóle stwierdzić należy, że na umiastowieniu krakowskiego teatru prawdziwa sztuka wyszła jak najgorzej, widocznie więc ci, którzy tem się zajmują, albo mało się na prowadzeniu tego rodzaju przedsiębiorstwa znają, albo też mają nieszczęśliwą rękę. Wszystko to jednak ma się zmienić, (oby tylko na lepsze!) gdy komisję teatralną wzmocni się powołaniem nowych sił, żyjących tylko sztuką i dla sztuki!...

Ze względu na „umiastowienie“ teatru należałoby przypuścić, iż los artystów i artystek, pracujących w miejskiem przedsiębiorstwie, powinien być daleko lepszy, niż ongiś, gdy narażeni być mogli na łaskę jednostki, mnszającej się oglądać na to, by związać koniec z końcem i nie być zmuszoną do zamknięcia rocznych rachunków deficytem. Pokazało się przecież, że tak nie jest, bo i gmina kieruje się w tym wypadku zasadami zupełnie takimi samymi, jak prywatny przedsiębiorca. Chodzi tu o odmówienie wypłaty gaży za miesiąc wakacyjne tym aktorom, którzy z miastem kontraktów na przyszły sezon nie odnowili. Jest to bardzo skuteczny środek na złamanie oporu, ale też z drugiej strony i bardzo niebezpieczny, łatwo bowiem stać się może, że w tych warunkach braku chętnych, którzy ofiarowaliby się na służbę sztuce, dopóki ona jest umiastowiona.

Sprawę tę podniesiono nawet na ostatnim posiedzeniu Rady miejskiej, usunięto ją jednak z porządku dziennego na wyraźne żądanie pana prezydenta, który oświadczył skromnie, iż nie wypada, by publicznie roztrąsano sprawę umów z artystami i artystkami. Od tego jest komisja teatralna, a ta wie, co robi, w ostatecznym wypadku przychodzi jej z pomocą prezydent, w którego składzie znajdują się też wybitni znawcy spraw teatralnych (nawet za kulisami!... przyp. zecera).

Skoro już zawiadziłem o ostatnim posiedzeniu krakowskiej Rady miasta, to nie od rzeczy będzie wspomnieć, że wówczas stało się coś, o czem nawet nie śniło się dotąd nikomu. Wiadomo, że Wielki Kraków nazwano swojego czasu „Bazylą“ na dowód, w jakiej zgodzie żyją ze sobą nad Wisłą pan Bazes i pan Leo. Tymczasem pokazało się, iż tak nie jest, że „coś zepsuło się w państwie duńskiem“, skoro właśnie pan Bazes ugodził pana Lea, i to w najboleśniejstrą stronę, bo w emeryturę!... Powiadają, że z ust ekszellencji wyrwały się tylko owe historyczne słowa: „*Et tu Bazes contra me?*“...

Miało to miejsce z okazji zawiadomienia prezydium, iż zniesiono komisarza fortecznego dla Krakowa, że więc wobec tego z praw autonomicznych, przysługujących gminie, będzie się mogło odtąd w całej pełni korzystać. Uchwałem, powziętym w międzyczasie, gdy działalność Rady była po części skrepowana, nadano teraz, *ex post*, sankcję autonomiczną, a do nich należały także sprawy podwyższenia pensji dla pana prezydenta i ustanowienia dlań emerytury. I to właśnie *ex-przyjacieli*, pan Bazes, poruszył.

Wogóle pan Bazes stał się obecnie opozycjonistą pierwszej klasy, zaraz bowiem potem sprzeciwił się zakupieniu przez miasto przy pomocy Kasy Oszczędności lasu bieleńskiego i Panięskich Skał, gdzie ma powstać z czasem park ludowy. Z jakiego punktu zapatrywania pan Bazes wychodził, tego nie wiem, ale podzielał w zupełności innych zdanie, iż to nie jest żaden interes, jeżeli taki kawał lasu, i to pod samym

Krakowem, stanie się własnością gminy i nie będzie mógł uleść parcelacji!

A sprawa tak się przedstawiała kokosowo...

Na temże samem posiedzeniu zajmowano się też i sprawami aprowizacji i utworzeniem Urzędu Rady gospodarczej, ale widocznie są to sprawy o drugorzędnym znaczeniu, gdyż zostawiono je na sam koniec posiedzenia, gdy już większość ojców miasta (zwłaszcza tych, co to siedzą pod pantoflem „u matek“, a nie mają klucza od bramy) pędziła w stronę domowego ogniska.

Uchwalono wszystko, ale obrady przeciągnęły się poza godzinę dziesiątą, wobec czego jeden z ojców miasta ma na najbliższem posiedzeniu postawić wniosek, wzywający prezydium, aby postarało się, ze względu na dobro ogółu, a spokój domowy jednostek, by

1) każdy z ojców miasta otrzymał od swej lepszej połowy prawo noszenia klucza od bramy;

2) w dni, w których odbywają się posiedzenia Rady, wolno mu było bezkarnie po godzinie dziesiątej wieczór powracać pod dach rodzinny, bez obowiązku składania sprawozdań, skąd powraca;

3) wszelkie na tem tle wybuchłe nieporozumienia domowe rozstrzygane były bez prawa rekursu przez komisję mieszaną, składającą się w równych częściach z PP. radców miejskich i ich czcigodnych małżonek.

Zdaje się, że powyższy wniosek przejdzie jednogłośnie, chyba, gdyby w międzyczasie zmieniono statut miejski i powołano niewiasty w skład Rady, gdyż w danym wypadku posiedzenia odbywałyby się popołudniu, zamiast owych „białych kaw“, które obecnie zniknęły z widowni i utworzyły w życiu każdej niewiasty niczem niezapełnioną lukę.

Powołanie zaś kobiet do wzięcia czynnego udziału w życiu publicznem zdaje się być tylko kwestią czasu. W Austrii mają one już w najbliższym czasie otrzymać godność sędziów przysięgłych, w Rosyi zasiąść ma kobieta na fotelu ministeryalnym. Kraków, jako wielkie miasto, mające nawet własną operę, nie może wobec tego pozostać w tyle.

Głębsza polityka, której obecnie w każdej kronice staram się poświęcić bodaj kilkanaście wierszy, dała w ubiegłym tygodniu także sporo tematu do różnych kombinacji. Zwłaszcza ustąpienie Bethmanna Hollwega było roztrąsane bardzo dokładnie, z ogromnem też zaciekawieniem oczekiwano na pierwszy występ jego następcy, dra Michaelisa. Na ogół przemowa jego w parlamencie niemieckim nie wywarła takiego wrażenia, jak się spodziewano. Z Francyi nadchodzi wieść, że pau Poincaré ma zamiar usunąć się w zacisze życia prywatnego i dać spokój polityce, na której nie zrobił szczęścia, poświęcić się zaś tylko swej kancelarii adwokackiej, którą w ostatnich czasach, mówiąc po krakowsku, „puścił kantem“. Czekają tylko na uchwalenie honorowej emerytury, która umożliwiłaby mu spędzenie bez troski resztki dni żywota. W Rosyi rewolucya, zapowiadając nawet utworzenie dyktatury, w Anglii król Jerzy, by zerwać zupełnie wszelkie nici, jakie go wiązały z Niemcami, zmienił nazwisko rodowe na „Windsor“ i myśli podobno o nowej ofensywie na zachodnim froncie, prosząc Boga, by wypadła lepiej, niż ostatnia rosyjska w Galicyi, która, wbrew oczekiwaniom koalicji, zakończyła się odwrotem na całej linii. Nie zdała się na nic pomoc Anglii, Francyi, Japonii i Ameryki, wyprawa na Borysław nie powiodła się w zupełności, nadprogramowo przerwali nadto sprzymierzeni front rosyjski pod Zborowem. Na to nie liczyli zupełnie przedstawiciele koalicji, dlatego też oświadcza, że nie oni ponoszą winę, jeżeli wobec tego wojna przeciągnie się dłużej. Jeśli atakowali, to tylko w myśli doprowadzenia wojny do końca i umożliwienia zawarcia pokoju, ale takiego, jak oni pragną, skoro im zaś pokrzyżowano zamiary, cała odpowiedzialność spaść musi na mocarstwa sprzymierzone.

W związku z nieudaną ofensywą rosyjską w Galicyi stać miała i ofensywa rumuńska, podjęta po porozumieniu się z Brusilowem. Ponieważ obecnie Brusilow się cofa, najprawdopodobniej pójdą w jego ślad i Rumuni.

Czy na te wszystkie sprawy miały jakiś wpływ plamy na słońcu i ów miesiąc katastrofalnych trzęsień ziemi, tego powiedzieć nie mogę, tak jak nie wiem, czy pod tą rubryką możnaby umieścić nowe pęknięcia rury wodociągowej na Łódzku Zwierzynieckiem. Pękła jedna z największych, prawie w tem samym miejscu, co poprzednio, narażając Krakowian, przyzwyczajonych do obchodzenia się bez wszystkiego i na kilkodniowe bezwrodzie. Zaczęto organizować już ogonki wodne (kartki na wodę są już w druku), na razie przecież zażegnano niebezpieczeństwo przez załatwienie dziury i napomnienie rur z urzędu, iż im pękać nie wolno!...

